

WANDA MIŁASZEWSKA

Cmentarz i sad

35)

— Podobał mi się pan tak bardzo, że chciałam sprawdzić własne wrażenie z przed dwóch tygodni — ciągnęła dalej panna Bielawska prawie że obojętnie.

— A... teraz? — spytałem głosem zdławionym. Ogarnął mnie dziwny niepokój. Poczulem nagłą chęć zbliżenia się do tej dziewczyny, uchwycenia jej za ramiona tak mocno, by zaprzestła monotonnego kołysania się w tył i naprzód, naprzód i w tył...

— A teraz? — powtórzyłem, wpijając w nią spojrzenie.

— Teraz? Nic. Wiem tylko, że horoskop mówił prawdę. Zapewne wyjdę zamąż bez miłości — rzekła cicho.

Gdybym zachowała całą przytomność, wystarczyłoby tych kilku słów dla wyrwania mię z „nastroju“. Ale właśnie w tej chwili grzywka panny Meli musnęła mój policzek, i uczułem, prócz perfum, ostre, nęcący zapach włosów: zapach mieszany leśnych ziół i rogu. A ona mówiła dalej, ciągle tak samo półcicho i bardzo blisko mej twarzy:

— Teraz?... Ot, było i przeszło. Skończyło się. Przeszło mimo coś, co mogło przy mnie pozostać. I trzeba było tak niewiele... Ja przecież pana nie kochałam. A jednak poszłabym za tobą, jak cień... I tak niewiele było trzeba.

— Czego było trzeba? — schyliłem się również ku niej, oczekując na słowo, które wybiegnie z ust.

— Tylko powiedz: Melu —

— Melu... westchnąłem raczej, niż wyszeptalem, i w tem miękkim, przewlekłym „Mm“ spotkały się nasze usta.

Był to bardzo długi pocałunek. Prawie tak długi, jak niespodziewany. Gdyby przepowiedziano mi przed pół godziny coś podobnego, śmiałbym się. Wcale nie miałem ochoty się śmiać. Zerwałem się na nogi i stałem oszołomiony, niepewny, czując, że ziemia drży mi pod stopami, a pokój cały wiruje. Po jakimś dopiero czasie, ochłonawszy nieco, przesunąłem odruchowo ręką po czole, i wybałem głupio:

— Przepraszam panią.

Siedziała nieruchoma, z głową na oparciu kanapy, z przechyłoną w tył, bielejącą na ciemnym tle ściany twarzą.

— Za co? — ozwała się po chwili. — Przecież powiedziałam: nie kocham pana. Kto wie? Może to była prawda. I pan mię przecież nie kocha.

Milczałem.

— No tak — mruknęła, jakby do siebie — trzeba mi już stąd iść. Godzina późna... Jestem w domu sama. To przecież nie wypada...

Wstała powoli i podała mi suchą, gorącą dłoń. Oddałem uścisk w milczeniu. Drgające cienkie palce powiedziały mi wyraźnie: Mogłabym nie być sama, jeżeli zechcesz...

Nie chciałem. Zamknąłem się na klucz we własnym pokoju, nie wiedząc, czemu to czynię. Chodziłem długo w ciemności, potrącając łokciami sprzęty. Przed oczyma zarysowała mi się na chwilę jasna twarzyczka panny Olesi, a zaraz potem jakiś głos wewnętrzny zadzwijał ostro i szyderczo: — no, dalej, otwórz drzwi z klucza! Głupcze. Przejdź tylko korytarz. To niedaleko, wiesz dobrze... Trzecie drzwi...

Nie usлуchałem, ale dławilem się poprostu od wstępu, że była chwila, gdy mogłem usłuhać.

XXIII.

Bywają rozmaite odcinki tęsknoty. Często jest ona wampirem ssącym duszę aż do zupełnego obezwładnienia, często wybucha jak burza, gwałtowną ulewą, tłukącą po sercu gradem wspomnień, najczęściej jednak wlecze się za człowiekiem, niedotrzelana prawie, a przytmiewająca wszystko niby szkło przydymione, za którym świat wydaje się pośpiesnie szary.

Taką właśnie szarą, niewidzialną dla oka tęsknotę zabrałem ze sobą na front. Snuła się ona po drogach, które jeździłem, czatowała w każdym domostwie, które obrałem na nocleg, czaiła się w ziemi wilgotnej okopów... Była wszędzie, choć jej w niczem dopatrzeć nie mogłem. Wałęsała się o zmroku pasmami siwej mgły, witała mię o wschodzie przeciągłym krzykiem wędrownego ptactwa, otulała każdy dzień przeżyty szarym pokrowcem znużenia, upodabniając szereg tych dni do suchych, brzydkich poczwerek motyli.

Przejeżdżałem z miejsca na miejsce, przemierzałem wiorstami przebytych marszów olbrzymie połacie kraju — bywałem często w potyczkach, w ospałym ogniu karabinowych kul, których chwilami brakło obydwoj stronom walczącym. Staralem się jak najsumienniej peścić swą służbę, ale niebyło we mnie tego wewnętrznego żaru, który nawet na małym polu działania pobudza do wielkich czynów.

Ó wypadkach ostatnich, o Rosjance i o Warszawie starałem się myśleć niewiele, a przecież te myśli właśnie narzucały mi się natarczywie, walczyły o swoje prawo nade mną, opadały mię krzykliwą chmarą w każdej godzinie spoczynku i ciszy. Od chwili wyjazdu z Warszawy (wyjazd ten nieco przypominał ucieczkę) starałem się odwlekać wszelką decyzję. Nawet sperandy urlopu raczej zdawały się zastraszać mię, niż cieszyć. Cóż zrobić ze sobą? Dokąd pojedę? Wiedziałem wprawdzie, dokąd pojechać pragnę, ale — rzecz śmieszna poprostu — bałem się spojrzeć teraz w pogodne oczy panny Olesi. Bałem się jasnego, dobrego wzroku, że spocznie na mnie tak szczerze i ufnie, jak zawsze.

Może to dziecinada, może taki głupi sentymentalizm mię ogarnął. Jednakże od pewnego czasu działy się ze mną tak dziwne rzeczy, że się już dziwić czemukolwiek przestałem. Bo pomyśleć tylko — bałem się oczu panny Olesi, że mi powiedzą wprost: czemu kłamałeś i kłamiesz przede mną? A czulem, że nie potrafię wyspowiadać się przed nią i — że nawet wyspowiadać nie mogę. Bo i jakże jej mogę powiedzieć: Moja panno Olesiu, był taki moment, w którym zgrzeszyłem przeciwko tobie. Jej, która dotychczas nic o tem nie wie, że pragnę złożyć swój los w te drobne ręce.

Chwilami tłukło mi się po głowie coś, jakby serdeczny żal, że wiedzy na cmentarzu nie miałem odwagi powiedzieć poprostu: „Kocham cię“. Byłby mógł teraz równie poprostu zapytać: „Czy mi wybaczysz?“

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Ilustrowany Przegląd Katolicki

Ojców mowy — Ojców wiary — Bronmy zgodni — Młody — Stary

Nr. 5

HERNE, 28 stycznia 1939

Rok IX



Oczyszczenia Najświętszej Panny Marii

Przedpłata miesięczna „Przeglądu Katolickiego“ wraz z jednym numerem codziennej gazety wynosi mk. 0,60
Zamówić można „Przegląd“ na każdej poczcie lub u listowego. Drukem i nakładem spółki wydawniczej Sztandar Polski G.m.b.H.
Herne / Za redakcją odpowiada: Marian Kwiatkowski / Poczłowe konto czekowe: Dortmund 16619 / Telefon 50960